

# MOJE ZDZIWIENIA

## Czy tak popularyzować?

Postanowiłem odświeżyć swą wiedzę o polskim średniowieczu literackim i w tym celu sięgnąłem po opracowanie najnowsze: książkę Andrzeja Dąbrówki *Średniowiecze. Korzenie* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2005), która ukazała się w IBL-owskiej serii Mała Historia Literatury Polskiej. Nazwa taka sugerowała, że to opracowanie zwięzłe, przystępne, selekcjonujące starannie informacje najważniejsze, eksponujące wartości omawianych utworów – wartości, które sprawiają, że są one godne naszej pamięci. Autor zresztą wyraźnie adresuje swą książkę nie tylko do adeptów polonistyki, ale nawet do ambitniejszych licealistów.

Już jednak lektura *Wstępu* zaprzeczyła tym oczekiwaniom. Po pierwsze, okazało się, że książka „nie pretenduje do uczynienia zbędnymi wszystkich innych dotyczących tej tematyki” (s. 7) – a więc nie wystarczy ją przeczytać, by uzyskać podstawową wiedzę o epoce. Po drugie, autor z nieskrywaną pogardą dystansuje się wobec „ujęcia estetycznego” i „trwożnej czci dla zabytkowych arcydzieł” (s. 8). Po trzecie – analiza każdego z 30 wybranych utworów obudowana jest „omówieniem zjawisk podobnych, a w stosunku do tematu rozdziału dawniejszych, współczesnych, ale i późniejszych” (s. 8). Konstruując tak rozległe tło porównawcze, autor raz po raz zapuszcza się w dygresje i ekskursy (i ekskursy od ekskursów), których związek z analizowanym utworem bywa bardzo często nikły. Często z sobiepańską dezynwolturą zajmuje się tylko tym, co go interesuje i o czym może powiedzieć coś nowego. Zasypuje przy tym czytelnika, niczym Brückner, erudycyjnymi i anegdotycznymi szczegółami. Wszystko to utrudnia śledzenie przewodu myślowego, rozróżnienie tego, co ważne i warto zapamiętać, a co można sobie darować. Nadto autor często wprowadza bez objaśnień terminy, których przewidywany czytelnik na pewno nie zna. Gdybym był studentem, nie potrafiłbym się uczyć z tej książki.

Zobaczmy, jak to wygląda w praktyce. Rozdział o *Kronice* Galla Anonima zaczyna się od opowieści o konflikcie Krzywoustego ze Zbigniewem, zakończonym jego oślepieniem. Autor jednak na tym nie poprzestaje: przypomina, że podobnie potraktował Chrobry czeskiego księcia, Bolesława Rudego, co więcej, informuje, że na dworze bizantyjskim opracowano w tym zakresie „higieniczną technologię: wzroku pozbawiano nie jakimś rzeźnickim wykłuwaniem czy wylupianiem, ale bezinwazyjnym oświetlaniem siatkówki, które osiągnano przez wystawianie siłą oczu na widok rozpalonej do białości płyty żelaznej” (s. 45). Zapewne, ciekawa to wiadomość, ale czy potrzebna do anali-

zy *Kroniki* Galla? Przecież za pomocą tych metonimicznych skojarzeń można narrację rozbudowywać w nieskończoność.

Rozpatrując *Kronikę*, Dąbrówka szczegółowo omawia stanowisko autora w sporze między Kościołem a władzą świecką. Nie wiadomo, po co jednak odbiega od tematu, ostrzegając czytelnika, by nie wiązać z tą kontrowersją zabójstwa św. Stanisława, bo Bolesław Śmiały przyłączył się wówczas do obozu papieskiego. Nie wiadomo, po co opowiada o prześladowaniach, jakich doznali ze strony władców biskup z Chartres – Iwon i arcybiskup Canterbury – św. Anzelm. Nie wiadomo, po co informuje, że reformy gregoriańskie (nie objaśniając, na czym one polegały) zainicjował w Gnieźnie legat Gwalo, uczeń Iwona z Chartres, podczas wizyty w Polsce w roku 1003, po czym wysuwa hipotezę, że pamiątką owej wizyty jest kodeks 25 Biblioteki Katedralnej w Gnieźnie, zawierający traktat prawniczy *Collectio Tripartita* owego Iwona. Autor dodaje jeszcze, że być może pod wpływem poglądów Iwona utrzymała się w Polsce jako ustrojowa zasada tzw. reguła akwizgrańska, przypisywana Anzelmowi z Metz, zawarta m.in. w kodeksie 89 Biblioteki Kapituły Krakowskiej. Co to wszystko ma wspólnego z *Kroniką* Galla?

Dopiero po ośmiu stronach takich dywagacji *de omnibus rebus* wprowadza Dąbrówka postać Galla Anonima. Dzieło jego nazywa najpierw „kroniką zarazem typową i swoistą” (s. 89), przypisując jej przy tym cel „romansowy”. Cechą romansu ma być to, że „ścieżka nadrzędnego sensu łączy przedstawione zdarzenia i działania w znaczący ciąg” (s. 89), co jest ewidentnie definicją zbyt szeroką. W dalszym ciągu czytamy, że oddziaływanie *Kroniki* jest „romansowe i fabularne”, które to rozróżnienie znów wprawia czytelnika w zakłopotanie, bo przecież romansowość implikuje zawsze fabularność. Ale autor przyznaje także rację Plezi, charakteryzującemu *Kronikę* jako polską *chanson de geste* (bez objaśnienia, jaki to był gatunek literacki). Nie koniec na tym: w zakończeniu czytamy, że jest to jednak mieszanka kroniki i romansu, bo gatunek *chanson de geste* pojawia się w zapisach francuskich dopiero później, po roku 1150 (s. 57). Skołowany czytelnik w końcu nie wie, z czym ma do czynienia – z kroniką, z mieszanką kroniki i romansu, czy wreszcie z *chanson de geste avant la lettre*.

Rozdział *Podłoże i znaczenie Bogurodzicy* zaczyna się relacją o tym, że w roku 1245 polscy rycerze śpiewali przed bitwą pod Jarosławiem pieśń religijną „kierlesz” (*Kyrie eleison*), co było ogólnoeuropejskim zwyczajem. W związku z tym autor uważa za potrzebne pouczyć czytelnika, że najstarsze świadectwo śpiewania *Kyrie eleison* podczas bitew dotyczy bitwy pod Saucourt (3 VIII 881 roku), w której król francuski Ludwik III walczył z Normanami, o czym wspomina jeden z najstarszych wierszy staroniemieckich, zachowany w tym samym źródle, co najstarszy wiersz starofrancuski, sekwencja do św. Eulalii. Na świętą Eulalię – cóż to ma wspólnego z *Bogurodzicą*?

Cały obszerny wywód o *Kyrie eleison* okazuje się w końcu ślepą uliczką, bo ów śpiew z roku 1245 nie może być traktowany jako ślad powstającej *Bogurodzicy*, po cóż więc było tyle się o nim rozpisywać?

Po krótkim omówieniu semantyki pierwszych dwóch strof pieśni autor zapuszcza się w hipotezy dotyczące genezy tekstu i muzyki utworu – czemu poświęca aż 14 stron. Dowodzi, że źródłem programu ideowego i schematu treściowego była sekwencja *De Sancta Maria* (inc. *Ave Dei genitrix*) z *Missale plenarium* z Biblioteki Katedralnej w Gnieźnie, na co zresztą uwagę zwrócili już Birkenmajer i Woronczak. Dla budowy formalnej *Bogurodzicy* pierwowzór znajduje w sekwencji *Gaude mater luminis*, umieszczonej w innym mszale z tejże biblioteki. Wraca potem do „teologicznej osnowy” pieśni i odkrywa ją także w traktacie *De laudibus beatissimae virginis Mariae Alberti Magni*, który być może ofiarował bibliotece gnieźnieńskiej kantor Piotr. Tu następuje obszerny ekskurs o tym, że ów Piotr był uposażony na wsi Pyszczyk, z którą sąsiadowała wieś Strzeszów należąca do klarysek; jedna z nich, Katarzyna Zagajewska, zleciła około roku 1418 stworzenie *Graduału*, gdzie któraś z melodii jest podobna do *Kyrie* z litanii do Wszystkich Świętych, z którym kojarzony jest incipit *Bogurodzicy* (s. 369). Dalej Dąbrówka, wymieniając nazwiska wielu wybitnych ludzi Kościoła, którzy przeszli przez kantorę gnieźnieńską, dowodzi, że pielęgnowany tu był przez pewien czas śpiew gregoriański.

Co z tego wszystkiego dla genezy *Bogurodzicy* wynika – trudno zrozumieć, tak meandryczne są wywody autora. Dopiero po kilkukrotnej lekturze domyślam się, że prawdopodobnie w ten sposób autor motywuje hipotezę, że twórca *Bogurodzicy* działał w kręgu kapituły gnieźnieńskiej. Ale bierze pod uwagę także hipotezę „krakowską”, ze względu na przynależność Andrzeja Łaskarza do kręgu biskupa krakowskiego Piotra Wysza. Ów Łaskarz zaś w swej antykrzyżackiej akcji dyplomatycznej wykorzystał fakt śpiewu *Bogurodzicy* pod Grunwaldem, więc być może był on także inicjatorem napisania tej pieśni, bo to „dobrze zabrzmi w relacji z bitwy, jaką będzie zdawał polski poseł” (s. 175). Nie wiem, jak tę hipotezę oceniają specjaliści – mnie przypomina ona konstrukcje późnych powieści Parnickiego...

Tak czy inaczej – wydaje mi się, że w popularyzatorskiej pracy wszystkie te kwestie genetyczne wystarczyłoby zreferować w kilkunastu zdaniach, bo potencjalnego odbiorcę interesuje nie ta czy inna hipoteza dotycząca źródeł *Bogurodzicy*, ale jej artyzm, który „wznosi początki naszej poezji narodowej do rzędu najwyższych zdobyczy twórczości europejskiego średniowiecza” (Teresa Michałowska, *Średniowiecze*, Warszawa 1995, s. 291). Ale o tym Dąbrówka nie ma nic do powiedzenia. Doczepia natomiast na końcu rozdziału (na tej zasadzie, że to też dotyczy spraw polsko-krzyżackich) fakt wydrukowania przez polskiego starostę Tęczyńskiego życiorysu Doroty z Mątówów (1486), co miało zapobiec monopolowi Krzyżaków na jej beatyfikację. W ostatnich słowach przekazuje do epizodu legnickiego z roku 1241: „Nie wolno żartować z tych rzeczy, ale gdyby polskie wojska były huknęły pieśń, nikt by nie słyszał pokrzykiwania jakiegoś prowokatora” (s. 178). Ktoś, kto akurat nie ma w pamięci relacji Długosza, nie zrozumie, co w ogóle autor ma na myśli.

Proszę wybaczyć brutalne określenie, ale z punktu widzenia zadań popularyzatorskich książki trudno nie nazwać skandalem sześciostronicowego

rozdziału o Długoszu. Autor oznajmia tu, że koncepcja jego *Kroniki* była „konserwatywna, czy wręcz przestarzała” w porównaniu z koncepcją Piotra z Byczyny, bo ten w swej *Kronice książąt polskich* „porzuca niekiedy państwowy punkt widzenia i bez żenady spisuje trywialne anegdotki o książętach” (s. 367). Trochę dziwne to kryterium postępowości historiograficznej, ale nie spierajmy się o nie. Okazuje się bowiem, że i u Długosza znajdziemy dosyć kłopotliwych szczegółów z życia dworu królewskiego – a jeśli tak, to czym góruje Piotr z Byczyny nad Długoszem? Jeden z takich szczegółów, zmyśloną prawdopodobnie historię o zgwałceniu przez królewicza Kazimierza córki węgierskiego szlachcica, Dąbrówka szeroko analizuje, wyliczając jego literackie paralele, sięgając aż do Biblii. Dalej następuje już tylko pochwała Długosza za jego nowoczesność (choć uprzednio czytaliśmy o konserwatyzmie), zdroworozsądkowe pouczenie, że pracowitość, wspomagana uczciwością, prowadzi do metody gwarantującej najpewniejsze wyniki (s. 371), i informacja o historycznych losach Długoszowego dzieła. Kodą jest poetycka impresja, pełna „trwożnej czci dla arcydzieła”, z której autor tak drwił sobie we *Wstępie*, nieuzasadniona przy tym w niczym poprzednimi wywodami:

Ze swoją prostą annalistyczną strukturą Długoszowa *Historia Polski* niczym dzieło architektury gotyckiej ujawnia swój stan, nie maskuje materiału wypełniającego konstrukcję, mieści wszystkie racje swojego istnienia, ma groby, popiersia, podolepiane tabliczki, wywieszone wota i chorągwie. Słychać w niej pieśni i kazania o sprawach najważniejszych. Wzbudza tym wszystkim zadumę, zaufanie i podziw. Budowana dziesiątki lat, jest oddana, otwiera i zamyka wielką przestrzeń. Może jest więc naszą najpiękniejszą katedrą? (371).

Czy autor rzeczywiście uważa, że taki zasób wiedzy o Długoszu powinien jego odbiorcom wystarczyć?

*Średniowiecze* Dąbrówki jest na pewno książką ambitną i nowatorską – projektem „historii komunikacji symbolicznej w polskim średniowieczu” (s. 9). Czy trafną w sądach i hipotezach – nie mnie oceniać, nie jestem mediewistą. Ale jako czytelnik prac historycznoliterackich ośmielam się powiedzieć, że jest wręcz doskonałym przykładem, jak nie należy uprawiać popularyzacji w tej dziedzinie. A zdziwienie skąd? Ano stąd, że książkę firmują redakcyjnie dwie wybitne uczone – Alina Brodzka (sama świetna kiedyś popularyzatorka) i Elżbieta Sarnowska-Temeriusz. Czy aprobują taki styl popularyzacji?

### Coś ty uczynił znawcom, Mickiewiczu?

Ukazała się książka *Śmierć Mickiewicza. Teksty i rozmowy w Roku Mickiewiczowskim 2005*, pod redakcją Katarzyny Czeczot i Marty Zielińskiej (Warszawa 2008). W pierwszych słowach wstępu Alina Witkowska rekomenduje ją jako „ważną”, bo „gromadzi ona sumę wysiłków szerokiego grona uczonych

skupionych wokół Komitetu Obchodów 150 Rocznicy Śmierci Mickiewicza i konferencji naukowej zorganizowanej przez Instytut Badań Literackich PAN 25–26 października 2005 roku” (s. 7). „Suma” ta koncentruje się wokół tematu tytułowego książki – i od razu nasuwa się wątpliwość, czy wybór tego tematu był zasadny, czy też stanowił tylko przejaw uległości wobec imperatywu „sformatowania”, o którym mówił Marek Bieńczyk – kształtowania wypowiedzi pod domniemywane oczekiwania szerokiej publiczności (s. 328).

A tymczasem, z jednej strony, od dziesięcioleci leżą odłogiem takie tematy, jak Mickiewicz w Rosji, Mickiewicz jako redaktor i autor „Trybuny Ludów”, przywódca legionu, tematy, których dotychczasowe opracowania, pochodzące z czasów PRL, wymagają na pewno korektur i uzupełnień. No a przede wszystkim od mickiewiczologów oczekiwałoby się namysłu nad problemem, który kilkakrotnie, ale tylko marginesowo w czasie tej sesji się pojawia: „ogólny odpływ zainteresowania Mickiewiczem” (s. 8), odczucie, że jest on twórcą anachronicznym (s. 352), brak odpowiedzi na pytanie, „na co i komu potrzebny jest Mickiewicz” (s. 362).

Oczywiście, temat *Śmierć Mickiewicza* okazji do takich rozważań nie dawał. W dodatku – po pracach Wiesławy Knapowskiej, Kseni Kostenicz i Stanisława Rośka niewiele nowego można o zgonie poety powiedzieć. Referenci więc albo stawiali sobie pytania takie, na które odpowiedzi nie ma i nie będzie (co kryje się za wielokropkami w wierszu Norwida, czy Mickiewicz traktował wojnę jako zabawę, czy umierał wesoły), albo takie, na które odpowiedź jest oczywista (np. czy wyjeżdżając na Wschód, liczył się z możliwością śmierci), albo wreszcie pytania nadbudowane nad spornymi hipotezami (kto otrul Mickiewicza – jeśli został otruty). Inni autorzy potraktowali temat sesji metonimicznie i mówili o upiorze i trupie jako motywie utworów Mickiewicza, o jego chorobach, o jego stosunku do chorych, o epizodach z pośmiertnego kultu poety (o tym można nieskończenie). Jaki związek z tematem sesji mają dywagacje Krzysztofa Rutkowskiego *Co to znaczy być i nie być? Notatki do improwizacji z okazji 150 rocznicy śmierci Mickiewicza* – nie potrafię wyrozumieć.

Przebieg sesji jest w książce skrupulatnie udokumentowany („Proszę państwa, na koniec tej pierwszej części (to jest pierwsza część pierwszej części naszego spotkania, bo potem zrobimy sobie małą przerwę na kawę i nawet jakieś ciasteczka tam widzę)” – s. 305). Skoro więc żaden głos dyskusyjny nad wygłoszonymi referatami w książce się nie pojawia – widocznie takiej dyskusji nie było. Nie jest to, mówiąc ogólnie, sukces pomysłodawców. „Wszystko w życiu jest ciekawe, wszystko interesujące”, powiada poeta – zwłaszcza w odniesieniu do Mickiewicza. Ale nie każdy szczegół jest problemem zasługującym na prezentację na ogólnopolskiej sesji naukowej.

To niepowodzenie organizatorów rekompensuje druga część książki, zawierająca zapis dyskusji panelowej z 29 listopada 2005 roku, zorganizowanej przez Pracownię Romantyczną IBL PAN i Uniwersytet Gdański pt. *Mickiewicz i my*. Składa się ona z dwóch części – *Biografia czy/i interpretacja?* oraz *Mickiewiczologia XXI wieku*. Nie ma dostatecznej podstawy, by uznać wysu-

nięte tu tezy za reprezentatywne dla całej mickiewiczologii, a tym bardziej polonistyki literackiej, na pewno jednak są one symptomatyczne i ważne – pochodzą z dwóch mocnych ośrodków tej polonistyki.

Wydawałoby się, że pytania umieszczonego w tytule pierwszej części panelu – *Biografia czy/i interpretacja?* (przypominające tytuł artykułu Boya *Czy myć zęby czy ręce?*) w dysjunkcyjnym jego sensie nikt dziś nie stawia – nie ma historii literatury bez badania dzieł literackich, a badanie życia i charakteru wielkich pisarzy i jako działalność pomocnicza w interpretacji, i jako autonomiczna dziedzina wiedzy nie są przez nikogo kwestionowane.

A jednak. Przebieg panelu trafnie scharakteryzował Wojciech Owczarski: „W badaniach historycznoliterackich nie chodzi już o to, jak było «naprawdę». Chodzi o to, żeby wyszło pomysłowo, efektownie i oryginalnie” (s. 369). Wy-suwane są propozycje tematyczne, w których realizację się nie wierzy – byleby tylko były dostatecznie *sophisticated*. Wolno przy tym składać deklaracje paradoksalne, mgliste i z sobą sprzeczne. Alina Kowalczykowa z aprobatą konstatuje zwrot od faktografii do rozważań o „duchowej istocie” twórcy, ale zarazem szczególną rolę przypisuje jego zabiegom autokreacyjnym (s. 294; jak jednak odróżnić zabiegi autokreacyjne od zachowań spontanicznych, a także nacisk na przypadkowe okoliczności zewnętrzne deformujące owe zabiegi kreacyjne – tego się nie dowiadujemy). Jako przejaw znakomitego rozwoju biografiki<sup>1</sup> traktuje przejście „od opisu faktów i ich beznamiennej analizy ku wyrażaniu siebie – badacza, w zacieraniu się granic między biografią poety a wyznaniem intymnym «ja» – interpretatora” (s. 293). Aprobuję także swobodne dywagacje nawiązujące do odsłaniania tajemnic duszy poety i jego interpretatora. Nie jest to chyba stanowisko sprzyjające społecznemu autorytetowi i instytucjonalnej legitymizacji badań literackich. Kowalczykowa zarazem wykazuje szczególne zainteresowania autokreacjami twórcy, w tym jego autoportretami malarskimi, rysunkowymi. Jest to jednak kierunek badań o ograniczonym zasięgu – „stosunkowo niewielu pisarzy pozostawiło rysunkowe wizerunki własne” (s. 395). Nie bierze też referentka pod uwagę, że mogą to być autoportrety nieudolne, z braku dostatecznej sprawności technicznej autora, czy też autokarykatury.

Z kolei Marek Bieńczyk snuje projekt czegoś, co nazywa „biografią medytacyjną” – „kronikę znaczących gestów Mickiewicza”. Każdy z nich „wydaje się pękać od znaczeń”, ale biografia medytacyjna powstrzymuje się od interpretacji, która stosowana do życia (Mickiewicza) zawsze jest przemocą (s. 285). Jaki więc byłby pożytek z owego rejestru – trudno skonkretyzować. Co więcej, Bieńczyk przyznaje, że być może taka biografia medytacyjna jest w ogóle nie do przekazania i rozgrywa się tylko między Mickiewiczem a biografem medytującym (s. 289). Marta Piwińska trzeźwo przy tym zauważa, że dostępne nam opisy zachowania Mickiewicza są subiektywnie zniekształcone. Wszystko to zwalnia nas od dalszych rozważań nad przydatnością takiego bytu, tylko wirtualnego.

<sup>1</sup> Używam terminu „biografika”, nie „biografistyka” – przez analogię do wyrazu „grafika”.

Marcie Zielińskiej z kolei marzy się nie biografia, lecz zestawienie najdrobniejszych nawet faktów, których doświadczył Mickiewicz, a które pomija się w dotychczasowych biografiach i kalendarzach, a przecież „nieco inaczej określających poetę” (s. 302) i ułatwiających zrozumienie jego epoki. (Przykładem, nieszczególnie przekonującym, jest fakt, że Mickiewicz widział u Micheleta słój z „zapeklowanym” noworodkiem – s. 303).

Pojawiają się w tej książce inne propozycje tematyczne, jak np. „Mickiewicz interpersonalny” Zbigniewa Majchrowskiego, tj. „Mickiewicz stworzony przez swe otoczenie, przez wszystkich partnerów jego życia” (s. 245; i tu jednak nie dowiadujemy się, jak można by oddzielić rezultaty owego oddziaływania od endogennych sił osobotwórczych poety). Marginesowy charakter ma zalecana przez Małgorzatę Czermińską „rekonstrukcja narracji niekompletnych”; jeśli dobrze autorkę rozumiem, mowa tu o sporządzeniu narracji o jakiejś ważnej w biografii intelektualnej pisarza podróży i jej konfrontacji z obowiązującym wzorcem kulturowym.

Jak widać więc, mamy tu do czynienia przeważnie albo z projektami utopijnymi, albo bardzo marginesowymi, albo ekscentrycznymi w podwójnym znaczeniu tego słowa, tj. i ekstrawaganckimi, i uciekającymi od Mickiewicza ku całemu otaczającemu go światu. Projekty te najpewniej nigdy nie zostaną zrealizowane, bo zrealizować się nie dadzą, bo mało komu są potrzebne, bo nie znajdują się wykonawcy i pieniądze. W sumie cała ta dyskusja to tylko – proszę wybaczyć – efekciarskie „bicie piany”, z którego dla mickiewiczologii nic nie wyniknie.

Żadnego projektu „biografii całościowej” znaleźć tu nie można. Jak twierdzi Kowalczykowa, wątpliwe jest w ogóle prawo do istnienia „konsekwentnej i spójnej” biografii, bo nie ma tu miejsca na wyrażanie wątpliwości (niby dlaczego?). A zresztą, jeśli biografika ma być interesująca, to „chyba przede wszystkim należy pisać o tym, co samego biografistę interesuje” (s. 333). Zapewne – jest to warunek konieczny, ale nie zawsze wystarczający, by biografia była interesująca również dla innych.

Jak przedstawione tu projekty wyglądają w konfrontacji ze stanem biografiki całościowej w świecie – nie umiem odpowiedzieć, ale wiadomo, że zwłaszcza w krajach języka angielskiego jest ona z wielkim rozmachem i sukcesem uprawiana. Uczestnicy panelu tego pytania w ogóle sobie nie zadali (raz tylko wspomniano Paintera i Haydena White’a).

Jeszcze gorzej wygląda w świetle omawianej tu sesji naukowej sytuacja interpretacji dzieł literackich. *Le vieillard terrible* polonistki literackiej Jarosław Marek Rymkiewicz orzeka najpierw, że „wszystkie sposoby interpretowania dzieł literackich wydają się równie dobre, czyli równie nieciekawe” (s. 306), potem posuwa się jeszcze dalej, utrzymując, że „skończyło się czytanie znaczeń, ponieważ jest zupełnie jasne, że w postmodernistycznej epoce nic nie ma znaczenia, życie nie ma znaczenia, wobec czego dzieła też nie mają znaczenia” (s. 331). Nie przeszkadza mu to jednak równocześnie twierdzić,

że można zrozumieć dzieło literackie, jeśli „rozpozna się i rozjaśni (na ile to możliwe) tajemnice życia jego autora” (s. 308).

Obok Rymkiewicza umieścić należy Monikę Rudaś-Grodzką, która wyrażnie się przyznaje, że literatura przestała ją interesować, i powiada, iż przedmiotem jej dociekań stała się raczej przestrzeń między autorem a dziełem (s. 318) – co brzmi enigmatycznie. Również Dorota Siwicka deklaruje, że coraz bardziej interesuje ją biografia, a od interpretacji nie odchodzi z konieczności tylko dlatego, że żądają tego czytelnicy. Ulegając tej konieczności, z rezygnacją stwierdza, że „nie da się jednak uciec od historii literatury jako wykładu o dziełach” (s. 327). Przyznam się, że jest to najbardziej dziwne zdanie na temat historii literatury, jakie zdarzyło mi się przeczytać – coś tak, jakby powiedzieć „nauka czytania i pisania, niestety, nie może uciec od zwalczania analfabetyzmu”.

Niewiele możliwości rozwojowych dla interpretacji, zwłaszcza mickiewiczowskiej, dostrzega Marta Zielińska, bo właściwie „wszystko powiedzieliśmy”, a poszukiwania nowych odczytań Mickiewicza, które byłyby atrakcyjne i dostosowane do wymagań współczesnych odbiorców, będą raczej skazane na porażkę (s. 301); interpretacja natomiast produkowana być może tylko na użytek szkolny i popularyzatorski. Jak wiadomo, w ostatnich dziesięcioleciach przetoczyła się wielka fala różnych nowych propozycji metodologicznych – dekonstrukcja, psychoanaliza lacanowska, krytyka genderowa, postkolonializm, nowy historyzm... Nie przeceniam ich produktywności, ale dziwić musi fakt, że nikt z występujących tu mickiewiczologów niczego inspirującego tam nie znalazł.

W ogóle nielicznych tylko obrońców znalazła interpretacja poezji Mickiewicza. Jedynie Maria Janion zadeklarowała energicznie (i chwala jej za to), że „roztrząsanie poezji Mickiewicza, poezji lirycznej przede wszystkim, powinno stać się fundamentem mickiewiczologii XXI wieku. W tej poezji wiele jest miejsc nieodkrytych, właściwie niemal wszystko” (s. 344). Ale wtóruje jej tylko Piwińska: „Mnie interesuje interpretacja. Wolę czytać Mickiewicza niż czytać o Mickiewiczu”; przypomina też, że z każdym pokoleniem pojawia się nowy horyzont poznawczy, który wyznacza nowe możliwości lektury (s. 309), i za szczególnie interesujący uważa „idący przez wieki dialog nieustającej zmienności, z dziełem, które trwa” (s. 310).

Czytając tę książkę, odnosi się wrażenie, że dla większości, młodych zwłaszcza, badaczy znacznie bardziej interesujący niż Mickiewicz-poeta jest albo Mickiewicz jako przedmiot kultu i badań (metamickiewiczologia), albo Mickiewicz milczący, pozawerbalny (Majchrowski, s. 337)<sup>2</sup>, lub wreszcie

<sup>2</sup> Przy sposobności: Zofia Stefanowska (s. 322) wyraziła przypuszczenie, że Kleiner nie planował trzeciego tomu monografii o Mickiewiczu. Tymczasem dobrze w tej kwestii poinformowany Jerzy Starnawski pisze: „O prowadzeniu przez Juliusza Kleinera prac nad tomem ostatnim wiadomo” (J. Kleiner, *Studia inedita*, oprac. J. Starnawski, Lublin 1964, s. 448). Wyraźny charakter rozdziału monografii posiadają teksty *Zdania i uwagi i fragmenty liryki miłosnej oraz Ideologia wykładów w Collège de France*, pochodzące najprawdopodobniej z roku 1942. Po wojnie pracę nad tym tomem odsunął Kleiner na dalszy plan, zapewne ze względu na przewidywane trudności cenzuralne, a także stan zdrowia, utrudniający mu wyjazd do Paryża. Ale jeszcze latem 1955 wyjazd taki planował.



Mickiewicz myśliciel religijny, głoszący syntezę życia, duchowości i energii (Ewa Graczyk, s. 383), protestujący przeciw mechanizacji oraz rutynie – i tym samym mogący stać się sojusznikiem nowego „zaczarowania świata” (Janion, s. 378), lub też mogący mieć wielką przyszłość jako prekursor dzisiejszej „nowej amerykańskiej religii” (Aleksander Nawarecki, s. 382).

Nie wchodząc w dyskusję, czy wszystko to świadczy o wielkości Mickiewicza-myśliciela, zauważmy, że orientacja na ten właśnie aspekt jego dzieła oznaczałaby odwrót od badania jego dokonań poetyckich. Nawarecki deklaruje wprawdzie, że Mickiewicz oznacza dla nas „głównie teksty, a poezję w szczególności”, wyjaśnia jednak, że „kluczowym korpusem tekstów poetyckich, a zarazem religijnych byłyby *Zdania i uwagi* oraz *Prelekcje*”. Głównie *Prelekcje* – dodaje Ewa Graczyk (s. 382). Ale czy *Prelekcje* to tekst poetycki? Tyle z kanonu Mickiewicza pozostawiono...

I tak oto niektórzy badacze, celebrując rocznicę śmierci Mickiewicza – człowieka, i intronizując Mickiewicza – pisarza religijnego, odsyłają na cmentarz historycznoliteracki Mickiewicza – poetę.

Coś ty uczynił znawcom, Mickiewicz?

### Dlaczego i dla kogo skumbrie w tomacie?

Przeczytałem tom III *Dziejów inteligencji polskiej* – książkę Magdaleny Micińskiej *Inteligencja na rozdrożach 1864–1918* (Instytut Historii PAN, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2008). Zadanie, jakie stanęło przed autorami tego dzieła, było piekielnie trudne, zarówno ze względu na nieostrość samego pojęcia „inteligencja”, jak i rozległość zakresu tematycznego – mieli oni opisać „i skład, i sytuację społeczną, i wyposażenie umysłowe inteligencji, i jej narodowe aspiracje na przestrzeni półtora wieku”, wciąż borykając się z pytaniem, jak „wykroić jej historię z gęstej historii wszystkiego” (z przedmowy Jerzego Jedlickiego do tomu I).

Magdalena Micińska włożyła w tę książkę wiele pracy i inwencji, moje wrażenie jednak z jej lektury jest, niestety, takie, że pod wielu względami nie udało się jej sprostać zadaniu. Pominę ryzykowne oceny pewnych zjawisk, np. że Wyspiański „lokował się poza głównym nurtem twórczości młodopolań” (s. 176), że „Zielony Balonik należy uznać za najbardziej znaczące echo rewolucji 1905 roku w Galicji” (s. 150) i że było to „apogeum rozwoju awangardy krakowskiej przed 1914 rokiem” (s. 172), że Franc Fiszer był „niekwestionowanym koryfeuszem”, „nieomylnym mistrzem” cyganerii warszawskiej (s. 174). Trudno się pogodzić z wymienieniem Krasińskiego wśród „żarliwych gryzmołów” (s. 190). Autorka nie ustrzegła się też wielu błędów faktograficznych. Wiersz *Czarna sukienka* Konstantego Gaszyńskiego łączy Micińska z atmosferą połowy lat sześćdziesiątych XIX wieku (s. 76), tymczasem powstał on w roku 1832; dlaczego autorce kojarzy się on z mickiewiczowskimi

dzieweczkami, badylkami i motylkami – trudno zgadnąć. – Wbrew temu, co czytamy na s. 14, nazwa „Królestwo Polskie” nie została po powstaniu 1863 roku zniesiona, lecz tylko począwszy od roku 1888, częściowo zastępowana nazwą „Priwislinskij Kraj”. – Informacji o tym, iż na ziemiach wcielonych do Cesarstwa obowiązywał ścisły zakaz druku książek i broszur polskich (s. 16), powinna towarzyszyć wzmianka, że wyjątkiem były tu wydawnictwa księgarni Elizy Orzeszkowej z lat 1879–1881, no i że zakaz ten został zniesiony w czasie rewolucji 1905 roku. – Uniwersytet Lwowski w czasach austriackich nie miał jeszcze miana Jana Kazimierza (s. 18). – Nie można twierdzić, że począwszy od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku Szalom Asz, Izaak B. Singer czy Icek Manger podnieśli literaturę żydowską do poziomu światowego (s. 28), bo Asz debiutował dopiero w roku 1903, Singer urodził się w 1904, a Manger – w roku 1900. – Klaczko nie był dyplomatą w służbie austriackiej u schyłku życia (s. 39), lecz tylko przez kilka miesięcy w roku 1870. – Feldman nie głosił wyrzeczenia się religii żydowskiej (s. 36). – Wyspiański nie sportretował panien Pareńskich „na płótnie” (s. 44), a jego widoki kopca Kościuszki nie są akwarelami (s. 175). – Tarnowski ze względów statutowych nie mógł być wieloletnim rektorem UJ (s. 82); zajmował to stanowisko dwukrotnie, za każdym razem przez rok. – Szujski nie wtórował tezom Bobrzyńskiego (s. 91), bo wysuwał je wcześniej od niego. – Trudno znaleźć w *Faraonie czy Nad Niemnem* dobitnie sformułowaną tezę, że twórców należy oceniać według ich przydatności społecznej (s. 94). – Wojciech Gerson i Pius Weloński studiowali w Rosji, ale tam nie pracowali (s. 152). – W *Walce z szatanem* Paryż nie jest przedstawiony jako groźne miasto-moloch, siedlisko demoralizujących uciech (s. 160); jest tam na ten temat zaledwie kilkanaście zdań, bo – jak ironicznie pisze Żeromski – „nie chce on obrazić polskiego krytycznego oka i ucha, jak wiadomo, niesłychanie wrażliwego na «niemoralność» w opisie niemoralnej prawdy”. – Wincenty Kosiakiewicz nie był jednym z „nieprzeciętnych przedstawicieli nauk humanistycznych” (s. 168). – „Idzie żołnierz borem, lasem” to stara pieśń żołnierska, a nie wiersz Edwarda Słoińskiego (s. 179). – Wbrew temu, co sugeruje Micińska, Świętochowski bardzo kochał swego synka i boleśnie przeżył jego śmierć (s. 197), autorka pomieszała przy tym Zenona i Maurycego Świętochowskich. – Micińska wprowadza czytelnika w błąd, pisząc, że nazwiskami takimi jak Kasprzak, Okrzeja czy Baron nazywano niegdyś ulice i szkoły, ale po roku 1989 „strącono ich z piedestału” (s. 150) – bo np. w Warszawie i Łodzi ulice nadal noszą ich nazwy. – No i nie należało pisać o poetach *minorissimum gentium* (s. 176), bo to kuchenna łacina, lecz *minimorum gentium*.

Jeszcze gorsze jednak od tych błędów są rażące dysproporcje, niekonsekwencje i luki w doborze materiału. O Kasie Mianowskiego czy Uniwersytecie Latającym rozpisuje się autorka na wielu stronach, Akademii Umiejętności poświęca zaledwie kilka linijek; o Ossolineum zupełnie milczy. W ogóle aktywność inteligencji lwowskiej – od Jana Lama do Maryli Wolskiej – nie została tu w ogóle dostrzeżona. Rozległe dziedziny kultury – muzyka czy ar-

chitektura, pozostają poza zasięgiem zainteresowań Micińskiej, o teatrze i malarstwie też dowiadujemy się niewiele. O Matejce np. – twórcy narodowego imaginarium historycznego, do dziś aktualnego – można przeczytać tylko tyle, że był „niemal ubóstwiany i że gotów był za 20 000 florenów namalować klęskę Jana Olbrachta na Bukowinie” (s. 41). Także rola Sienkiewicza, Żeromskiego czy Wyspiańskiego, jako przywódców ideowych inteligencji, nie została należycie uwypuklona. Nie znajdziemy tu ani słowa o osiągnięciach naukowych na miarę światową, jakie uzyskali w tym czasie Wróblewski, Olszewski, Smoluchowski, Leon Marchlewski. Polskich uczonych wykładających na szwajcarskich uniwersytetach wymienia autorka dokładnie, ale o takich sławach, jak Edward Strasburger w Jenie czy Brückner w Berlinie – milczy. To samo dotyczy fundamentalnych prac bibliograficznych i słownikowych, z których dziś jeszcze korzystamy – jest to historia inteligencji polskiej bez Kolberga, Estreichera, Adalberga, Karłowicza, Chlebowskiego... Autorka szeroko rozpisuje się o zdeklasowanej szlachcie, kobietach i Żydach jako nowych źródłach inteligencji, ale nie dostrzega w okresie Młodej Polski pojawienia się twórców i uczonych pochodzenia chłopskiego. W rozdziale o pierwszej wojnie światowej opowiada, że oddział bjończyków otrzymał sztandar, zaprojektowany przez Dunikowskiego i Żyznowskiego, zaś „pierwszym chorążym został Władysław Szujski, bratanek krakowskiego historyka Józefa” (s. 179), natomiast o ogromnym udziale ludzi pióra i pędzla w legionach, a także o panującym tam kulcie Piłsudskiego – ani słowa.

Te luki informacyjne są tym bardziej irytujące, że autorka znajduje miejsce w swej książce dla różnych błahych wiadomości, np. że pewien historyk z Inflant, uczestnik krakowskiego zjazdu naukowego, zatrzymał ozdobne menu przyjęcia w Sukiennicach i wkleił do pamiętnika (s. 68). Albo że Karol Benni przyjmował gości obfitą kolacją, na którą składały się kluski gryczane, bigos, flaki, pieczyście, ryby i sery (s. 52). Albo że Stanisław Pareński zginął, wypadłszy z pociągu (s. 52; notabene pisząc o salonie Pareńskich, należało uwzględnić rolę jego żony – Elizy, krakowskiej Aspazji). Albo wreszcie, że „w czasie bitwy pod Bolimowem 31 stycznia 1915 roku Niemcy po raz pierwszy na froncie wschodnim użyli bojowych gazów trujących (bromku ksylitu), a potem trzykrotnie ponawiali ataki przy użyciu chloru” (s. 181). Co to ma wspólnego z wojennymi losami inteligencji polskiej? Rozumiem intencje autorki – chce ożywić swą narrację charakterystycznymi konkretami, ale dobór ich jest nazbyt obfity i niefortunnie przypadkowy.

Bez potrzeby zapuszcza się Micińska w dywagacje w danym kontekście zupełnie zbędne. W rozdziale o rewolucji 1905 roku autorka nawet nie wspomina o istnieniu SDKPiL, ale za to zastanawia się, którą z kilkunastu dat można uznać za jej początek, a także jaką formułą ją interpretować. Twierdzi m.in., że jej wykładnia jako pierwszego tak masowego wystąpienia robotniczego w Polsce i Rosji, choć trudno uznać ją za nieuzasadnioną, straciła swą „intelektualną nośność” (s. 151); sama widzi w rewolucji przede wszystkim „bolesną lekcję odpowiedzialności za wypowiedzi publiczne, za mrzonki smutne bez kontaktu

z rzeczywistością i za pochoptność przy wytyczaniu nowych tras” (s. 150). Kogo i co ma tu na myśli – Piłsudskiego? Sławka? Różę Luksemburg? Dmowskiego? – tego treść rozdziału o rewolucji nie podpowiada.

Autorka w ogóle lubi uogólnienia, szumne i jaskrawe, pisane stylem, który Borowy określił kiedyś jako styl „hopaj-siupaj”, np.:

Kapryśna, meandryczna pamięć zbiorowa Polaków XX i XXI wieku kluczy, zawraca, puszy się, przeży bicepsy, słania się z wysiłku, bije się w pierś własną lub cudzą, odrzuca ciężary, które pozornie wydają się zbędne, i dźwiga brzemiona, bez których lżej byłoby iść naprzód (197).

Co tutaj Micińska właściwie ma na myśli – trudno zgadnąć.

Zdanie to wyjęte zostało z zakończenia książki, w którym niesprawność autorki w budowaniu logicznego dyskursu naukowego szczególnie rzuca się w oczy. Oto na przykład pyta ona: skoro w drugiej połowie XX wieku wypchnięto z narodowego panteonu nawet Kościuszkę, Mickiewicza i Traugutta, to czy warto

[...] upominać się o bohaterów ery porozbiorowej, działaczy, którzy nie osiągnęli wymiennego sukcesu, organiczników, którzy może chcieli walczyć, ale nie mieli dość sił, widoków na sukces i dosyć szaleństwa, ideowców, którzy na co dzień musieli oszukiwać siebie i innych, ugodowców, którzy w ukryciu piastowali nadzieje na coś więcej (196)

– i tu wylicza chaotycznie kilkanaście nazwisk od Hipolita Cegielskiego do Stefanii Sempołowskiej.

Otóż, po pierwsze – nieprawdą jest, że Kościuszko, Mickiewicz czy Traugutt zostali usunięci z narodowego panteonu. Po drugie – autorka wielokrotnie twierdziła, że druga połowa XIX wieku była złotym wiekiem inteligencji polskiej (s. 113), że niepodległość zrealizowała się w znacznej mierze dzięki jej wysiłkom, ofierze jej myśli, pracy i krwi” (s. 188). Gdzie tu konsekwencja?

W innym miejscu autorka chce pokazać ironię oraz paradoksy dziejów Polski i jej inteligencji. Przykłady przez nią podane są niekiedy kuriozalne w swej naiwności. Oto Prus doczekał się w Polsce pomników, gdy tymczasem „marzył on, aby jego imię nosiły czytelnie, przytułki i łaźnie” (s. 196) – o ile mi wiadomo, Prus nigdzie takich marzeń nie wypowiadał. Tenże Prus „kochał, zachowując poczucie humoru – jednak nie doczekał się własnych dzieci i przeżył samobójczą śmierć jedynego wychowanka” (s. 197). Trudno dopatrzeć się ironii losu czy paradoksu historycznego w tym, że Sienkiewicz, który miał być chętnym bywalcem salonu Deotymy, zażartował sobie na jej pogrzebie (s. 197). – „Najgorszy jednak los spotkał chyba Dionizego Henkiela” – pisze autorka zupełnie serio (s. 197) – bo zależało mu na tym, by jego nazwisko odmieniano „Henkiel, Henkiela”, a nie „Henkla”, a tymczasem warszawski plac nosi dziś nazwę „Henkla”! (notabene autorce wydaje się mylnie, że forma „Henkla” została przejęta z niemieczyzny, gdy tymczasem w niej właśnie byłaby ona niemożliwa). I to mają być paradoksy losów polskich inteligentów?

Ostatni akapit książki brzmi:

Jednak co najważniejszego, najśmieszniejszego, najżałośniejszego i najbardziej chrorego [?!] zapomniała polska inteligencja po 1918 roku? To ciągle ten sam paradoks – samą siebie. Spory we własnym łonie, entuzjazm i nienawiść, cynizm i nadzieję, skłonność do wielkich poświęceń i niepewność swej pozycji, podział na dobrych i złych, którego nie sposób udowodnić, ale w który wierzy się bez zastrzeżeń... To właśnie było udziałem inteligencji polskiej sprzed stulecia i jest jej udziałem do dzisiaj. Skumbrie w tomacie, pstrąg.

Przyznam się, że nie rozumiem. Jakże można pisać, że inteligencja zapomniała samą siebie, skoro równocześnie się twierdzi, że trapią ją te same problemy, co przed stuleciem? I pod czym adresem (chyba inteligencji?), i dla czego skierowany jest szyderczy cytat z Gałczyńskiego. Czy takie epitaforium oddaje sprawiedliwość inteligencji polskiej drugiej połowy XIX wieku?

Książka jako część trzypięciowej całości ukazała się pod redakcją Jerzego Jedlickiego. Poszczególne rozdziały były poddane – czytamy w przedmowie – „czujnemu i krytycznemu” osądowi na zebraniach Pracowni Inteligencji Instytutu Historii PAN. Całość recenzowali profesorowie Grażyna Borkowska, Tomasz Kizwalter, Włodzimierz Mędrzecki i Jerzy Zdrada. Wierzyć się nie chce, że nikt z tego szacownego grona nie zauważył wymienionych tu usterek.

### Nad cytatem z Adorna

Ryszard Nycz w wykładzie *O dzisiejszej sytuacji studiów literackich i niejakich z nich pożytkach* („Nauka Polska” 2008, nr 3) jako „rewelatorski” przytacza następujący fragment Teodora Adorno:

Przyzwicie opracowane teksty są jak pajęczyna: gęste, koncentryczne, przejrzyste, spójne, mocne. Wciągają wszystko, co krąży w okolicy. Metafory, które muszą je w przelocie, stają się pożywnym łupem. Materiały same się zlatują. Zasadność danej koncepcji można oceniać według tego, czy przywołuje cytaty. Gdy myśl otworzyła już jakąś komórkę rzeczywistości, powinna bez użycia siły ze strony podmiotu przeniknąć do następnej. Podmiot dowodzi swego odniesienia do przedmiotu, gdy wykrystalizowują się inne przedmioty. W świetle, jakie kieruje na określony przedmiot, zaczynają się iskrzyć inne (*Minima moralia*, II, 51, przeł. M. Łukasiewicz).

Fragment ten wydał mi się dziwaczny, niezborny, miejscami niezrozumiały. Próbowałem go sobie przyswoić z pomocą egzegezy, jaką rozwija Nycz. Ale najpierw: co to za kategoria – „teksty przyzwicie opracowane”? Na pewno są nimi w swoim rodzaju np. *Etyka* Spinozy, *Kodeks Napoleona* i *Ulysses* Joyce’a. Czy można znaleźć dla nich jakieś wspólne kryteria, które by odróżniały je od tekstów nieopracowanych przyzwicie? (Wyjątkowo chybioną wydaje mi się tutaj metafora pajęczyny, zazwyczaj kojarzonej z tym, co ulotne,

nietrwałe, wiotkie, tu użyta dla określenia tekstu mocnego, zwartego – ale o to mniejsza). Co to znaczy, że przyzwoicie opracowany tekst „wciąga wszystko, co krąży w okolicy”, „materiały same się zlatują” – Nycz nie wyjaśnia. Nie wiadomo też, dlaczego tylko metafory, które „musną tekst w przelocie”, przynoszą zysk poznawczy. A jeśli nie tylko muskają tekst, lecz go nasycają – co wtedy? A jeśli przeciwnie, w tekście nie ma metafor? A jeśli wreszcie metafory pojawiają się w tekście nieopracowanym przyzwoicie? Podkreśla Nycz jako cenną tezę, że „przyzwoicie opracowane teksty” nie są zamkniętą strukturą, lecz podobnie jak pajęczyna – siecią utkaną ze znaków i wchodzącą w aktywne relacje z otoczeniem. Po pierwsze: pajęczyna nie jest siecią utkaną ze znaków. Po drugie: nie jest przekonywająca analogia, jaka miałaby zachodzić w relacji pajęczyny z otoczeniem i dobrze opracowanego tekstu z otoczeniem (pajęczyna „uśmierca” przecież wszystko to, co wchłania). Zresztą jakaś aktywna relacja z otoczeniem cechuje każdy tekst, jeśli został przeczytany, zarówno *Pana Tadeusza*, jak i *Trędowatą*. Dalej – dlaczego „zasadność danej koncepcji można oceniać według tego, czy przywołuje ona cytaty”? Jeżeli dosłownie zdanie to rozumieć, znaczyłoby ono, że im więcej przytoczonych cytatów, tym koncepcja mocniejsza.

W dalszym ciągu tego fragmentu Adorno nieoczekiwanie przechodzi od „przyzwoicie opracowanego tekstu” do relacji między podmiotem (myślą) a rzeczywistością. Tu znaków zapytania jest jeszcze więcej. Dlaczego otwarcie poznawcze przedmiotu na jakąś komórkę rzeczywistości miałoby zawsze gwarantować przeniknięcie do następnej komórki? Co to znaczy, że „podmiot dowodzi swego odniesienia do przedmiotu, gdy wykrystalizowują się inne przedmioty”. Te uwagi Adorna o stosunku podmiotu do przedmiotu są tak pogmatwane, że trudno powiedzieć, czy teza Nycza o rzeczywistości traktowanej jako „rodzaj zdarzeniowości realnego” (więc są także inne rodzaje zdarzeniowości realnego?) jest ich trafną interpretacją.

A mimo wszystko Nycz uważa ten fragment Adorna za „rewelatorski”. Trudno mi się w tym wypadku zgodzić – nazwałbym ten cytat wprost przeciwnie – „obskuratorskim”.

Henryk Markiewicz